F. ANTONI OSSENDOWSKI



POPIELATKA

WYDAWNICTWO POLSKIE R. WEGNERA · POZNAŃ

F. ANTONI OSSENDOWSKI

POPIELATKA



ILUSTRACJE TADEUSZA LIPSKIEGO

WYDAWNICTWO POLSKIE
R. WEGNERA · POZNAŃ

PRINTED IN POLAND



POPIELATKA

Henio lubił las. Znał tam każde drzewo i najmniejszą nawet ścieżkę, w gęstwinie wydeptaną przez sarny. Wiedział, gdzie mają swoje gniazda sowy, jastrzębie, głuszce i różne drobne ptaszki. Nikomu jednak z chłopaków nie mówił o nich. Bał się, że jakiś urwis wykradnie jajka, lub zabierze pisklęta.

Najwięcej jednak lubił Henio wiewiórki — żwawe, wesołe i figlarne. Mieszkały w dziupli świerka, a tak się przyzwyczaiły do chłopaka, że wcale go się nie obawiały. Henio przychodził do starego drzewa codziennie, siadał na pieńku i, stuknąwszy kijem w pion, czekał.

Z otworu dziupli wysuwała się ostrożnie i czujnie mordka dużej wiewiórki. Czarnymi oczkami oglądała najpierw wierzchołki drzew, sprawdzając, czy nie zaczaił się gdzie chciwy, szary jastrząb. Potem wzrok bystry skierowywała na grubsze konary drzew, jak gdyby czegoś wśród nich szukając. Istotnie rude sprytne zwierzątko szukało najstraszliwszego bodaj wroga całego rodu wiewiórczego — kuny.

Przekonawszy się jednak, że w pobliżu nie ma żadnego napastnika, rudy łebek śmielej wynurzał się z dziupli, a w chwilę potem, na su-



chym sęku usadawiała się wiewiórka. Rudą, puszystą kitką, niby parasolką, zasłaniała sobie główkę i mądre, czarne ślepki, błyszczące, jak dwa szklane paciorki, i spoglądała na dół.

Tak też uczyniła, gdy Henio przyszedł pewnego poranka pod jej drzewo i stukiem dał znać o sobie.

Spostrzegłszy siedzącego na zwykłym miejscu chłopczyka, wiewiórka wydała zębami cichy zgrzyt. Z dziupli niby z worka wysypały się natychmiast małe wiewióreczki i grzeczniutko usiadły przy matce.

Matka wydała nowy zgrzyt i zaczęła zwinnie ześlizgiwać się po pionie. Zeskoczyła wreszcie na ziemię i usiadła, zadarłszy kitkę.



Przechylając łebek na bok, patrzyła po kolei to na chłopczyka, który uśmiechał się do niej, to znów na cztery małe córeczki, siedzące wysoko na drzewie. Maleństwa przykucnęły na sęku, zwiesiły główki i ogonki i, strzygąc uszkami, oczu nie spuszczały z matki.

Dopiero, posłyszawszy jej syczenie, podążyły ku niej. Dwie z nich poszły w ślady matki i ześlizgnęły się po pionie świerkowym, czepiając się jego chropowatej kory ostrymi pazurkami. Dwie inne obrały sobie dalszą drogę.



Jedna po drugiej, niby dwa czerwone płomyki, śmignęły w powietrzu, rozpuściwszy puszyste ogonki. Henio, oddawna przyglądający się skokom swoich przyjaciółek, zrozumiał, że wiewórki posługują się ogonami raz niby żaglem, kiedyindziej niby sterem. W jednej chwili rude lotniczki spadły na wierzchołek młodej sosenki, z niej zaś — na wysmukły świerczek i, sunąc chyżo, z gałęzi na gałąź, zeskoczyły wreszcie na ziemię i podbiegły do matki.

Zajrzały jej w czarne ślepki i w wesołych podskokach popędziły ku chłopakowi. Nie obawiając się go bynajmniej, właziły mu na kolana, wdrapywały się na ramiona, a jedna wiewióreczka, która miała ciemno-szare pasemko na grzbiecie (chłopak nazwał ją Popielatką) jednym susem była już na głowie Henia i łapkami poczęła drapać mu czapkę, piszcząc cichutko i wesoło zgrzytając ząbkami.

Henio siedział nieruchomo. Mrużył oczy i uśmiechał się radośnie. Wiewióreczki zaczynały się niecierpliwić. Raz po raz któraś z nich wsadzała łebek do kieszeni kurteczki chłopca i prychała, coś w niej



węsząc. Powróciwszy, siadała przed Heniem i, przekręciwszy główkę na bok, wpatrywała się weń i wydawała ostry syk.

— Cóż to znaczy? Dlaczego nic nam nie dajesz? — domyślał się Henio niecierpliwego pytania w syczeniu przyjaciółek i uśmiechał się do nich.

Wreszcie poruszył się i sięgnął do kieszeni. Wszystkie cztery zwierzątka w jednej chwili wdrapały mu się na kolana i bardzo grzecznie, niby żołnierze na baczność, wyprostowały się, usiadłszy na tylnych łapkach, zupełnie tak, jak to czynią pieski, gdy służą.

Henio dał każdej po orzechu. Brały je przednimi łapkami i zeskakiwały mu z kolan, kryjąc się w trawie. Wkrótce doszedł go trzask rozgryzanych łupin i łakome prychanie. Wiewióreczki ze smakiem zajadały orzechy. Chłopczyk rzucił też orzech starej wiewiórce. Schwyciła go w locie niemal i poczęła gryźć. Po chwili jedna z wiewióreczek, ta właśnie, co to miała popielate pasemko na grzbiecie, znowu wskoczyła Heniowi na kolana i zazgrzytała ząbkami.

— Ach, ty łakomczuchu! — szepnął do niej chłopczyk i dał jej kawałek cukru.



Ześlizgnęła się natychmiast na ziemię i śmignęła w trawie. Wkrótce zaczęła przenosić się z gałęzi na gałąź sąsiedniego drzewa, lecz niebawem wdrapywała się już po pionie świerka, a za nią, ścigając ją, pędziły trzy siostry. Na samym końcu sunęła powolnie matka, raz po raz oglądając się na chłopaka. Zdawało się, że żegnała go, a może za coś przepraszała, czy dziękowała. W każdym razie patrzyła na Henia bardzo łagodnie i ufnie. Znała go przecież od dawna. Przychodził tu już trzeci rok. Przyjaźnił się z innymi jej dziećmi, które już były teraz dorosłymi wiewiórkami i zapewne gdzieś w innym lesie wychowywały jej wnuki i prawnuki. Lubiła dobrego chłopczyka i wiedziała, że nic złego nie zrobi jej dziatkom — małym rudym wiewióreczkom.



Tymczasem trzy z nich ścigały zawzięcie czwartą, umykającą przed nimi z kostką cukru w pyszczku. Zapędziły ją aż na sam wierzchołek usychającego drzewa, ale, gdy dopadły jej w końcu, Popielatka zdążyła już schrupać resztki smakołyku.

Siostrzyczki otoczyły ją. Wymachując gniewnie ogonkami, zgrzytały ząbkami i poruszały chrapkami.

— Niedobra jesteś!

— Skąpa!!

— Nie lubię ciebie!

Tak mówiły małe wiewióreczki, a Popielatka marszczyła mordkę przekornie, łypała chytrze oczętami i przednimi łapkami głaskała się po brzuszku, jakgdyby drażniąc rodzeństwo:

— Bardzo to dobra rzecz cukier. Sło-o-o-odkie to!

Wreszcie zaczęły dokazywać. Skakały, uganiały się, borykały się ze sobą. Jedna z wiewiórek zerwała się z gałęzi i już padała, lecz, rozpuściwszy natychmiast kitkę i machnąwszy nią, dosięgła cienkiej gałązki. Zawisła na niej i, rozhuśtawszy się dobrze, skoczyła i pazurkami wczepiła się w korę świerka. Piszcząc, zgrzytając i prycha-





jąc, długo jeszcze śmigały po konarach drzew.



Henio, patrząc na nie, zaśmiewał się, bo bawiły go te harce rudych zwinnych zwierzątek. Umknęły jednak w końcu do dziupli, gdyż zwabiony ruchem i piskiem, nadleciał kruk i, usiadłszy na sąsiednim świerku, zakrakał:

— Cóż to za hałasy?! Cicho, smyki! Przerwałyście mi drzemkę po śniadaniu.

Przyszedłszy innym razem do lasu i usiadłszy pod drzewem, Henio spostrzegł, że brakowało Popielatki.

— Co się z nią stało? — pytał chłopak zaniepokojony.

Stara wiewiórka nie mogła mu na to odpowiedzieć. Przedewszystkiem nie znała ludzkiej mowy, a pozatem — sama nie wiedziała, gdzie się podziała jej mała córeczka. Smutnymi oczkami patrzyła na chłopaka i żałośnie syczała.

Tymczasem Popielatka była już daleko. Niedarmo nosiła na grzbiecie to popielate pasemko, które spostrzegł Henio. W rodzinie małej wiewióreczki był niegdyś dziadek — zupełnie popielaty. Zabłąkał się jakoś z dalekiej północy, z lasów cedrowych i pozostał w Polsce.



Pęd do przygód obudził się nagle w Popielatce. Skorzystawszy z nieobecności matki, mała wiewióreczka poszła w świat.

Skacząc z drzewa na drzewo, uchodziła coraz to dalej i dalej. Las wkrótce się skończył i mała podróżniczka ujrzała równinę, pociętą kwadratami pól. Daleko na widnokręgu widniała szafirowa ściana boru.

— Coby tam mogło być? — pomyślała Popielatka i, nie zastanawiając się, pomknęła przez pola. Coś doradzało jej ostrożność i czujność. Oglądała się więc na wszystkie strony i posuwała się naprzód chyłkiem, trzymając się miedz i rowów. Bez żadnej przygody dotarła do nieznanego lasu. Zanocowała na wierzchołku drzewa, przykucnąwszy pomiędzy dwiema grubymi gałęziami. O świcie znalazła zarośla leszczyny i, najadłszy się do syta, porobiła zapasy na dalszą drogę. Z obu stron pyszczka miała wewnątrz worki. Nieraz składała w nich niedojedzone przysmaki. Teraz nabiła je wyłuskanymi z łupin orzechami, od czego mordka jej stała się pucołowatą i ogromnie poważną. Tak, odchodząc coraz dalej, zapędziła się Popielatka do nieznanego boru północnego. Rosły tam świerki, sosny i wysokie, rozłożyste cedry o pękach długich, miękkich szpilek na wiotkich gałązkach. Wiewióreczka spróbowała dużych, prawie okrągłych szyszek, rosnących na cedrach; zamiast znanych jej drobnych ziarenek, ukrytych w szyszkach świerkowych i sosnowych, znalazła brunatne, okrągłe orzeszki. Niezmiernie jej smakowały, bo były słodkie, tłuste i pożywne. Objadała się nimi od rana do wieczora i tak się w końcu odpasła, że, chociaż się stała dużą i silną wiewiórką, nie mogła już ani biec szybko, ani robić dalekich skoków z drzewa na drzewo.

Zmuszona była jednak rozstać się ze smacznymi orzechami i przyjaciółkami i uciekać czym prędzej. Popielice zaczęły raptem chorować. Kilkadziesiąt z nich ginęło codziennie.

— Zmykaj, bo przepadniesz! — poradziła jej jedna z popielatych przyjaciółek. — My powędrujemy na północ, gdzie srożą się surowe, straszne mrozy — ale to nie dla ciebie! Nie wytrzymasz drogi i długiej zimy. Powracaj do swojej mamy! Pamiętaj, że każda żywa istota czuje się najlepiej tam, gdzie jest jej ojczyzna. Bądź zdrowa! Pomyślnej drogi!



Zrobiwszy zapas orzeszków cedrowych, którymi wypchała sobie woreczki policzkowe, Popielatka wyruszyła w powrotną drogę do lasu, gdzie stał stary, dziuplasty





świerk z kryjówką matki i trzech siostrzyczek.

Droga była pełna niebezpieczeństw i przygód. Na Popielatkę napadały jastrzębie, tropiły ją kuny, goniły łasice, gdy musiała przebiegać pola, okryte ścierniskami; pewnego razu kosmaty kundel uwziął się na nią i zapędził na strzechę chaty, gdzie jakiś chłopak koniecznie chciał ją złapać, ale na szczęście udało jej się przeskoczyć na wysoki żóraw nad studnią, stamtąd zaś na drzewo. Odważną podróżniczkę smagały nieraz wichry, zlewały strugi zimnego deszczu, aż po szarugach jesiennych przyszły przymrozki i śnieg okrył ziemię białym płaszczem. Popielatka, zapominając o jedzeniu i zmęczeniu, dążyła wciąż na południe, do rodzimego lasu.

Dotarła w końcu do swego lasu. Usiadłszy na wysokiej sośnie, języczkiem wyciągnęła jeden orzeszek ze schowka w pyszczku, lecz nie smakował jej teraz. Leżąc długo w ciepłym i wilgotnym miejscu, łuska puściła gorzką smołę.

Popielatka wyrzuciła cały swój zapas na ziemię i wzięła się do zwykłych szyszek. Nazajutrz odnalazła stary świerk i, wślizgnąwszy się do dziupli, z radosnym piskiem przytuliła się do matki. Siostrzy-



świerk z kryjówką matki i trzech siostrzyczek.



Droga była pełna niebezpieczeństw i przygód. Na Popielatkę napadały jastrzębie, tropiły ją kuny, goniły łasice, gdy musiała przebiegać pola, okryte ścierniskami; pewnego razu kosmaty kundel uwziął się na nią i zapędził na strzechę chaty, gdzie jakiś chłopak koniecznie chciał ją złapać, ale na szczęście udało jej się przeskoczyć na wysoki żóraw nad studnią, stamtąd zaś na drzewo. Odważną podróżniczkę smagały nieraz wichry, zlewały strugi zimnego deszczu, aż po szarugach jesiennych przyszły przymrozki i śnieg okrył ziemię białym płaszczem. Popielatka, zapominając o jedzeniu i zmęczeniu, dążyła wciąż na południe, do rodzimego lasu.

Dotarła w końcu do swego lasu. Usiadłszy na wysokiej sośnie, języczkiem wyciągnęła jeden orzeszek ze schowka w pyszczku, lecz nie smakował jej teraz. Leżąc długo w ciepłym i wilgotnym miejscu, łuska puściła gorzką smołę.

Popielatka wyrzuciła cały swój zapas na ziemię i wzięła się do zwykłych szyszek. Nazajutrz odnalazła stary świerk i, wślizgnąwszy się do dziupli, z radosnym piskiem przytuliła się do matki. Siostrzy-

czek jednak nie znalazła już w gnieździe. Wyrosły i poszły zakładać własne domki.

Nikt nie dowiedziałby się zapewne o dalekiej podróży Popielatki, gdyby nie orzeszki, przyniesione przez nią z dalekiej północy. Na wiosnę kiełkować poczęły i dały życie drobniutkim cedrom, niewidzialnym w wysokiej trawie. Drobiazg ten począł rosnąć szybko, a gdy podniósł się ponad trawę, spostrzegł młode drzewka leśniczy i, poznawszy rzadkich u nas przybyszów, ucieszył się bardzo. Kazał zaraz otoczyć malutkie, słabe jeszcze cederki płotem, aby bydło i ludzie nie tratowali i nie łamali ich, a zające nie ogryzały na nich kory.

Gdy Henio dorósł i miał już własnego synka — Piotrusia, młode cedry rodziły już szyszki. Padały one na ziemię, a z orzeszków wyrastały coraz to nowe drzewa...

Cieszą się na widok ich szyszek wiewiórki z całej okolicy i opowiadają sobie szeptem o Popielatce, która z dalekiej podróży przyniosła im niegdyś te smaczne, pożywne orzeszki.

Wdzięczne jej za to, nazywają ją — Wielką Prababką.



DRUK: CONCORDIA SP. AKC., POZNAŃ